

# Wolność

Po przejściu mostu na Łabie okazało się, że droga do wolności nie jest taka prosta. Wzdłuż drogi, prowadzącej po drugiej stronie rzeki, biegła granica Protektoratu. Ta granica była z kolei obsadzona gęsto strażnikami granicznymi, którzy zabraniali nam wstępu, pod pozorem podejrzenia o choroby zakaźne i braku świadectw zdrowia. Musieliśmy zatem wędrować drogą w kierunku Lovosic, a więc w kierunku zachodnim, czyli przeciwnym do naszego. Te zaostżenia zastosowano dopiero około południa. Znaczna część wcześniej zwolnionych zdołała odmaszerować w kierunku Pragi i pobliskich stacji kolejowych.

Rozbici na małe grupki, szliśmy więc w kierunku zachodnim. Ale niedługo potem spotkaliśmy idących naszych więźniów z powrotem. Mówili nam, że spotkali na drodze esesmanów znowu wyłapujących zwolnionych więźniów i prowadzących ich w kierunku Lovosic, a tam podobno ładują ich na barki rzeczne. Więc znów zawróciliśmy. Pomógł nam przypadek. Nadleciały samoloty, których przynależności nie mogliśmy nawet rozpoznać, bo były bardzo wysoko. Zawyły okoliczne syreny. Strażnicy graniczni pobiegli, nie zważając na nas, kryć się pod wysokim wałem rzeczny, bo tam był bunkier, a my spokojnie pomaszerowaliśmy poprzez łąn wysokiego żyta w kierunku widocznej wśród pól najbliższej wsi. Był to dopiero 8 maja, ale tam właśnie już zboże było wysokie i się kłosiło.

Tak więc przez piękny łąn zboża wchodziliśmy w granice sąsiedniego państwa. Było nas dziewięciu: profesor dr Mieczysław Michałowicz z Warszawy, docent pułkownik Stanisław Konopka z Warszawy, dr Stanisław Różycki z Piotrkowa Trybunalskiego, dr pułkownik Walenty Popek z Krakowa, dr Jan Nowak z Krakowa, dr Ludwik Fiszer z Zakopanego, dr Romuald Sztaba z Czeladzi, ja, tzn. absolwent medycyny Kazimierz Hałgas z Gorlic i aptekarz Władysław Kotuła z Działdowa czy Lubawy. Postanowiliśmy po drodze zejść do jakiegoś czeskiego lekarza i poprosić o wystawienie zaświadczeń lekarskich, aby nie mieć po drodze dalszych, nieprzewidzianych przeszkód.

Tymczasem nie mogliśmy jednak łązić po zbożu, aby nie popaść w nową kolizję z prawem. łąn był bardzo duży, ale w końcu trafiliśmy, zmieniając kilkakrotnie kierunek, na jakąś polną drogę. I tak wzdłuż tej ścieżki weszliśmy na drogę w środku wsi granicznej, tuż koło posterunku Grenzschutzu.

Przypadło nam w udziale być świadkami niezwyklej chwili, jak padały granice. W pierwszej chwili byliśmy zaskoczeni. Na maszcie łopotała jeszcze flaga ze swastyką. Grenzschatze pospiesznie ładowały swój dobytek na auta ciężarowe i wcale na nas nie zwracali uwagi. Naprzeciwko, na brzegu szosy i nad fosą siedziało kilkudziesięciu cywilnych Czechów, z których kilku posiadało karabiny. Siedliśmy koło nich. Po tej stronie, południowej, gdzie oni siedzieli, wszystkie domy tonęły w dekoracji czerwono-białych flag. Zdziwiło nas to, skąd tu polskie barwy narodowe. Pułkownik Konopka, który urodził się i wychował w Czechach, w Pilźnie, wyprowadził nas z błędu, informując, że w tym odwrotnym do polskiego ułożeniu, są to barwy czeskie. Znany nam dodatek trójkąta niebieskiego jest flagą narodową czechosłowacką. Tu jest jednak kołobka Czech. Po drugiej stronie strażnicy granicznej, od strony północnej, w całej wsi wywieszono były białe prześcieradła, na znak zakończenia wojny.

Kiedy Niemcy ukończyli ładowanie całego swego majątku i wyposażenia biurowego, stolików, maszyn do pisania itd., nastąpiła zbiórka wszystkich w dwuszeregu. Coś tam przemawiał do nich ich dowódca, odkrzyknęli mu ochoczo: Heil, i nastąpiło ściągnięcie swastyki z masztu. A Czesi na fosie pogwizdywali i śmieli się, my też. Potem Niemcy zaczęli wsiadać do aut. Wtedy do nich podeszli Czesi. Z tyłu ubezpieczało ich kilku z karabinami. Zawołali ich führera. Stał przed nimi na baczność. Jeden z Czechów przemawiał do nich: Hitler kaput! Wojna skończona. Oddać broń! Zsiadać z aut, zabrać swoje prywatne rzeczy i ustawiać się na szosie do drogi!

Bez żadnego oporu, posłusznie złożyli broń, którą natychmiast podejmowali Czesi. Biegli z walizkami i tobołkami i ustawiali się w szyku trójkowym na brzegu szosy. I wtedy zabrzmiała komenda: Achtung! Die Fahrlässige werden erschossen! Und jetzt Richtung Heimat im Laufschrift marsch, marsch! I zaczął się wyścig do ojczyzny. Ale jak tu biec z tobołami. Po bokach biegli młodzi Czesi z dopiero co zdobytą bronią. Niemcy rzucali walizki i toboły po drodze. Zrzucaли w biegu marynarki, podwijali rękawy i tak biegiem wracali do ojczyzny. Tak potulnie wyglądali wczorajsi bohaterowie Europy. Tymczasem, nie wiadomo kiedy, zniknęły w tej połowie wsi białe flagi i wywieszono, widocznie już wcześniej przygotowane, czerwono-białe czeskie flagi narodowe. Ze wszystkich domów ludzie tłumnie, całymi rodzinami wylegli na ulice, śpiewając i radując się.

Poszliśmy dalej, w kierunku wskazanym nam, do najbliższej stacji kolejowej w kierunku Pragi. Maszerowaliśmy dalej i dalej wzdłuż tej drogi, wiodącej mniej więcej na południe czy południowo-wschód. Nikt nie miał żadnej mapki, okolica była dość bezludna. Zbliżał się wieczór, a my znaleźliśmy się w dziwnym potoku ludzkim.

Tłumy rozmaitych wędrowców, więźniów i cywilów oraz nawet niemieckie uzbrojone jeszcze oddziały wojskowe wędrowały w kierunku mniej więcej południowo-wschodnim, podobnie jak i my, inny znów potok ludzki, zło-

żony przeważnie jednak z Niemców, jeszcze sformowanych i uzbrojonych, jak również rozbrojonych, we wszelakich mundurach, maszerował w kierunku przeciwnym.

Trafiały się też drobniejsze oddziały cywilne uzbrojonych Czechów. Mówili, że są partyzantami i idą na obronę Pragi, bo tam się toczą ciężkie walki. W Pradze wybuchło powstanie, Złota Praha gore! Jedni podawali kolosalne straty, aż do 200 tysięcy zabitych, inni 50 tysięcy samych tylko prażan. Wszyscy zgodnie twierdzili, że Praga zniszczona. Nikt nie umiał podać żadnych szczegółów.

Droga wiodła przez jakiś las, nadchodziła noc. Przed nami maszerował niemiecki oddział, z bronią gotową do strzału. Zwolniliśmy nieco. Gdzieś w przedzie zaczęła się gęsta strzelanina. Zeszliśmy w lesie nieco w bok od drogi. Napotkaliśmy jakiś wawóz czy wykrot i trudno było po ciemku szukać wyjścia. Każdy zawiązał się w posiadany koc i tak powoli zasypialiśmy na siedząco, w lesie, na głodno, w tę pierwszą wolną noc. Strzelanina powoli ucichła i zapanowała spokojna, nawet niezbyt zimna, majowa noc.

Ranny chłód obudził nas dość wcześnie. Był to już 9 maja. W nocy, o 24.00, jak nam mówili wczoraj Czesi, miało nastąpić przerwanie ognia na wszystkich frontach. A więc pierwszy dzień wolności! Byliśmy głodni. Trzeba zatem iść w drogę.

Wyszliśmy na wczorajszą drogę. Była całkowicie pusta. Pełno broni po fosach. Karabiny, pistolety ręczne i maszynowe, nawet w polu stało jakieś działo ppanc., odpięte widać od pojazdu i porzucone. Pod szczytem niedalekiego pagórka jakieś porzucone auto ciężarowe. Cała skrzynia wyładowana dużymi pakietami. Co też tam może być? Może coś do jedzenia? Całe auto wyładowane kartonami papierosów – Ceska Lipa, Drava i tytoń fajkowy Feinschnitt. Więcej nic, ale i to dobre. Byliśmy przeważnie palaczami i od dość dawna było z paleniem całkiem krucho. Ja już drugi tydzień zaparzałem zdobytą prymkę z paczką ziół z Gór Harzu i paliłem to świństwo w fajce. Teraz obławowaliśmy się papierosami jak wielbłądy. Po wypaleniu kilku sztuk, jeden po drugim, bo wydawały się jakieś bardzo lekkie, zakręciło mi się aż w głowie.

Poszliśmy dalej wzdłuż drogi. Kończyła się ona po kilkuset metrach nad dość dużą rzeką. Nazywała się Ohra. Przy brzegu był prom na linie i budka przewoźnika. A przy budce siedział przewoźnik w baraniej czapie na głowie, jakby nigdy wojny nie było, i ssał fajkę. Nie widać było dymu. Fajka się nie paliła.

Zagadał do niego pułkownik Konopka po czesku. Znał ten język od dziecka. Poprosił o przeprowadzenie nas na drugą stronę rzeki, zaznaczając, że nie mamy czym zapłacić. No, to ja przecież widzę, powiada przewoźnik, żeście koncentracji. Ale palicie, to dajcie coś zafajczyć, bo ja nie mam tytoniu. Nałożyliśmy mu pełną czapkę papierosów i tytoniu. Czech podziękował, przyrządził fajkę i zapalił. I zaczęła się rozmowa, skąd, dokąd itd. Powiedzieliśmy mu, że za tą górą, może 400 do 500 metrów stąd, jest uszkodzony samochód pełen papie-

rosów i tytoniu. Może wziąć ile chce. A Czech odpowiedział nam spokojnie: Ja tam nie pójdę, to nie moje. Zrobiło się nam jakoś głupio. Nasza pierwsza konfrontacja z etyką i moralnością po paru latach obozu. My sami „wysoko-szkolaki”, a tu prosty chłop czeski powiada: to nie moje, nie pójdę.

Dziadek przewiózł nas przez rzekę i polecił iść aż do szkoły i zgłosić się tam do nauczyciela. Wszystkie szkoły są przygotowane do przyjmowania i karmienia uchodźców. Tam rzeczywiście przyjęto nas z otwartymi rękami, po prostu bardzo serdecznie. Nieocenionym był dla nas Konopka ze swą znajomością języka czeskiego.

Wszystko było jak w bajce, jakby nigdy nie było wojny. Ciepła woda do mycia, chrupiące bułeczki i mleko na śniadanie. A potem... i znów zdziwienie... Co kraj to obyczaj. Zwyczajne, jak w hotelu, karty meldunkowe do wypełnienia i dopiero potem spać do czystych łóżek. Odsypialiśmy naszą noc w lesie aż do późnego popołudnia. Zresztą nie mieliśmy teraz dokąd się spieszyć, poza tym, ze względu na leciwego już profesora, nie wypadało nam się spieszyć za bardzo. Kiedy wstaliśmy, było już chyba koło czwartej po południu, podano nam obiad. Postanowiliśmy dopiero jutro iść dalej.

Po obiedzie przyszedł kierownik szkoły i powiedział, że telefonował lekarz powiatowy z prośbą, czy ktoś z nas nie pojechałby do sąsiedniej wsi zbadać jednego chorego jeńca radzieckiego, czy nie ma tam choroby zakaźnej. Kiedy wyraziliśmy zdziwienie, powiedział, że na podstawie naszych kart meldunkowych, telefonicznie zameldował nas w powiecie, a tam powiadomili lekarza powiatowego, że ma w tej wsi aż siedmiu polskich lekarzy do dyspozycji.

Pojechaliśmy we czterech autem: dr Konopka, Nowak, Różycki i ja. Chory rzeczywiście wykazywał objawy tyfusu. Szofer pojechał do telefonu dzwonić, a my tymczasem rozmawialiśmy z gospodarzami. Jeszcze zanim odjechaliśmy nadjechały dwie karetki, jedna po chorego, a druga dla doraźnej dezynfekcji. Byliśmy tym zdumieni. To był przecież pierwszy dzień po wojnie. Po drodze często wracaliśmy do tego faktu, rozmawiając na temat sprawności organizacyjnej naszych południowych sąsiadów. Przez te lata powojenne wielokrotnie sam wracałem do tego faktu, wobec tak często spotykanej indolencji organizacyjnej.

Noc spędziliśmy jeszcze na miejscu, a świtem następnego dnia, przygodnym samochodem ciężarowym pojechaliśmy dalej aż do dużej wsi Slaventin, gdzie weszliśmy do lecznicy, i u dr. Ladislava Venzla otrzymaliśmy wreszcie zaświadczenia lekarskie, że jesteśmy zdrowi, wypisane na odwrocie naszej karty zwolnienia z obozu. Przyjął nas bardzo serdecznie i wskazał najkrótszą drogę do najbliższej stacji kolejowej, do Rakownika.

Pod wieczór byliśmy w powiatowym miasteczku Rakownik. Tego dnia już nie było pociągu do Pragi, poza tym gdzieś tam naprawiano jakiś mostek. Jutro rano. Tymczasem dostaliśmy z Czerwonego Krzyża skierowanie do szkoły na nocleg. Ledwo jednak się tam dostaliśmy, przyjechał jakiś żołnierz autobu-

sikiem i zabrał nas do urzędu miejskiego. Tam przewodniczący „Narodniego Viboru”, także jakiś porucznik w mundurze, przeprosił nas i zaprosił w gościnę do siebie do domu. Powiadomiono go z Czerwonego Krzyża. Gościnność czeska była tak wielka, że zaczynała już nam, prostym ludziom, ciążyć. Oczywiście było to spowodowane kartami meldunkowymi i telefonicznymi ich przekazywaniami. Nie uchodziły wtedy uwagi tytuły profesorski, doktorskie czy stopnie pułkowników, których aż dwóch było w naszej grupie. To nam towarzyszyło wszędzie, nawet w Pradze.

Cały długi wieczór w Rakowniku wypełniony był koncertem dwóch córek przewodniczącego rady narodowej; jedna była pianistką, druga skrzypaczką. Poza tym było w bród jedzenia i picia. Tu dopiero dowiedzieliśmy się, że wiadomości o Pradze są przesadzone. Rzeczywiście było tam powstanie i było bardzo groźnie, ale już jest po walkach i wszystko jest dobrze. Rano odwieziono nas małym autobusikiem do węzłowej stacji kolejowej w Beraun. Wydano nam bezpłatne bilety kolejowe i szybko dojechalśmy do przedmieścia Pragi – Divice. Trzeba było jeszcze poczekać na pociąg do śródmieścia. Tymczasem obserwowaliśmy formowanie dwóch repatrianckich pociągów do Francji i do Włoch. Wszędzie pasiaki obozowe pomieszane były z wojskowymi mundurami jeńców wojennych. Z ciekawością obserwowaliśmy też pierwszych napotkanych żołnierzy i oficerów radzieckich.

Niedługo potem byliśmy już na stacji kolejowej Praga Śródmieście. Po spotkaniu kolegów obozowych, powstańców czeskich, o czym już pisałem, podeszliśmy do stolika Czerwonego Krzyża. Pani, która tam urzędowała, przyjęła nas bardzo ciepło. Zapytała tylko, czy znamy Pragę, a ponieważ nikt z nas nie znał dobrze, przydzieliła nam 10-letnią dziewczynkę w harcerskim mundurku za przewodnika i dała adres, gdzie możemy się zatrzymać. To nie było daleko.

Szliśmy zupełnie nie zniszczonymi ulicami dużego miasta. Ulice, zwłaszcza te w okolicy dworca, zapelnione były różnojęzycznym tłumem byłych więźniów obozowych, jeńców wojennych i przymusowych robotników, zwiezionych do Niemiec z całej Europy i części Azji. Teraz wszyscy wracają do swych krajów i domów. Jedni na wschód, inni na zachód. Jezdnie zatłoczone samochodami, przeważnie wojskowymi, ale i osobowymi, porzuconymi na ulicach. Jakieś komisje sprawdzały te samochody i nalepiały na przedniej szybie małe karteczki z pieczęcią i napisem: Majątek narodowy – prosimy nie ruszać. Zdyscyplinowany naród ci Czesi. To wystarczało. Nikt tam nic nie szukał, nie myszkował.

Naszą kwaterą stał się duży i piękny hotel turystyczny przy ulicy Jindrikskiej 5, własność Klubu Czeskich Turystów, odpowiednika naszego PTTK. Właśnie zdejmowali z niego emblematy niemieckie i niemiecki napis: Hotel SS, ostrożnie, żeby nie uszkodzić muru. Przydzielono nam pokoje 1- i 2-osobowe z łazienkami. Natychmiast zgłosili się do nas przedstawiciele tego klubu i wystawili nam odpowiednie zaświadczenia, upoważniające do bezpłatne-

go przejazdu środkami komunikacji i bezpłatnego korzystania z jedzenia w restauracjach. Proponowali przy tym zmianę bielizny i ubrań. Ze zmiany bielizny skorzystaliśmy wszyscy, tym bardziej, że powiedziano nam, że nasza po wypraniu będzie wydana innym. Ze zmiany ubrania skorzystał tylko jeden.

Po umyciu i odpoczynku zebraliśmy się razem u profesora Michałowicza i posiadawszy na dywanie pokpiwaliśmy sobie z uhonorowania, jakiego dostąpiliśmy, zapewne za przyczyną jego nazwiska i tytułu. Z recepcji hotelowej zapowiedziano telefonicznie wizytę jakichś panów. Przybyło dwóch przedstawicieli praskiej Izby Lekarskiej. Powiadomieni przez Klub Czeskich Turystów, przybyli powitać nas w imieniu swych kolegów i zaproponować nam ewentualne skorzystanie z ich kwater prywatnych w domach lekarskich, ewentualnie bezzwrotną pomoc pieniężną. Wymawialiśmy się zakłopotani, tłumacząc, że w tej chwili jesteśmy dłużnikami państwa i nie chcielibyśmy być prywatnie zobowiązani, bo po prostu nie wiemy, co zastaniemy w naszych domach i w jaki sposób, i kiedy moglibyśmy my się zrewanżować. Wobec powyższego zaprosili nas na drugi dzień wieczorem na wspólną kolację w restauracji hotelowej i odeszli.

Wobec tej gościnności, która nas krępowała, tym bardziej, że na pewno skierowana tylko pod adresem naszych wielkich kolegów, postanowiliśmy zostać jeszcze tylko jeden dzień, aby zobaczyć jutro, tj. 12 maja, zapowiedzianą wielką defiladę zwycięstwa na Vaclavskim (wówczas Masarykovym) Namesti. Długo w nocy rozmawialiśmy o Warszawie i zniszczonych polskich miastach i wsiach, porównując to z tym, co widzieliśmy tu, w Czechach.

Następnego dnia, około godziny 9, dostaliśmy się poprzez tłumy zgromadzone w śródmieściu, na plac przed teatrem, gdzie miała się odbyć pierwsza defilada zwycięstwa. Niezniszczone miasto, cudowne dekoracje, czerwień i biel, z małą domieszką niebieskiego koloru, jako że wtedy Czesi nie mogli jeszcze Słowakom zapomnieć ich zdrady narodowej, wywarły na mnie niezapomniane wrażenie.

Defiladę przyjmował prezydent Masaryk i wiele ważnych osobistości cywilnych i wojskowych. Pochód rozpoczynały oddziały wojskowe oswobodzicieli, Armii Czerwonej. Potem szły oddziały czeskie przybyłe razem z nią ze wschodu, a następnie czeska jednostka pancerna z zachodu, przybyła tegoż dnia rankiem z Pilzna, z szeregów stacjonującej tam armii gen. Pattona, w pełnym umundurowaniu zachodnim i z pełnym wyposażeniem bojowym. Byli witani z olbrzymim entuzjazmem. Z ciekawością oglądałem szczegóły zachodniego uzbrojenia. Wydawało mi się, że czołgi zachodnie nie dorównywały jednak rosyjskim. Wiele okrzyków z tłumu padało w języku polskim. Znaczyło to, że w tych tłumach na ulicy jest wielu Polaków. O ich liczbie przekonaliśmy się, kiedy na końcu pochodu, znów za jednostkami radzieckimi, nadjechała reprezentacyjna jednostka Wojska Polskiego, przybyła z Mielnika na tę uroczystość.

Nagle podniósł się straszny krzyk: Niech żyją! Pękły kordony i tłum Polaków runął na jezdnię. Wyciągano z aut żołnierzy i oficerów, ściskano i całowano. Wielu całowało polskie flagi, którymi udekorowane były auta. Tak żywiołowym może być tylko Polak. Ścisnęło coś za serce, mowę coś zatykało, a z oczu ciurkiem płynęły łzy. Pierwsze po przeszło pięciu latach spotkanie z polskim żołnierzem. Koło południa skończyła się ta wielka międzynarodowa defilada ludów Europy, a nawet Azji i innych kontynentów. Zjedliśmy obiad na mieście. I znów ciekawostka. My, na podstawie naszych kart, dostaliśmy jedzenie natychmiast. Wywołało to protest wojskowych siedzących w pobliżu nas, że oni czekają znacznie dłużej. I wtedy kelner odpowiedział im: Oni są z koncentraków, czekali znacznie dłużej i dziś należy się im najpierw. Byliśmy zdumieni.

Ledwo przyszliśmy do hotelu, zgłosiła się jakaś przystojna niemłoda pani, przedstawiając się jako pani Lewandowska, żona przedwojennego polskiego konsula. Została powiadomiona przez Klub Czeskich Turystów. Zaproponowała nam z miejsca wycieczkę po Pradze, ofiarowując się jako przewodniczka. Z radością poszliśmy wszyscy. W hotelu został jedynie profesor Michałowicz, który po rannej wycieczce trochę niedomagał. Zwiedziliśmy całe stare miasto i most Karola. Hradczany, niestety, nie były tego dnia dostępne dla zwiedzających. Odpowiedni napis informował, że już od jutra, tj. 13 maja, Zamek będzie z powrotem dostępny dla zwiedzających. Wycieczka zakończyła się herbatką i potem podziękowaliśmy pani konsulowej i wróciliśmy do hotelu.

Wieczorem, według wcześniejszych zapowiedzi, przybyło kilkunastu lekarzy czeskich, w tym i kilku profesorów uniwersytetu. Zapamiętałem jedynie profesora Teisingera z instytutu medycyny pracy. Nie potrzebowaliśmy tłumaczy. Nasze języki posiadają tak wiele wspólnych źródłosłów, że przy niewielkiej tylko pomocy palców można się doskonale porozumieć. Dla nas młodszych całe to przyjęcie było bardzo krępujące. Rozumieliśmy, że za tyle serca i przyjaźni, okazanej w takiej chwili, nie będziemy mogli nigdy się odwzajemnić. Ta chwila bratania się narodów słowiańskich była tak wzruszająca, że wryła się głęboko w moją pamięć i często ją w życiu wspominam. Wtedy wieczorem profesor nasz dał się przekonać i postanowił skorzystać z zaproszenia jednego, znanego mu jeszcze sprzed wojny, kolegi praskiego i pozostać w Pradze kilka dni dla wypoczynku, do czasu uregulowania kursowania pociągów między Pragą i Warszawą.

Następnego dnia wyruszyliśmy dalej. Czeski Czerwony Krzyż zaopatrzył nas w bilety kolejowe i paczki. Było w nich trochę drobiazgów podróżnych, jak mydło, żyletki, szczoteczka i pasta do zębów, chusteczki, papierosy i trochę jedzenia. Ze łzami w oczach pożegnaliśmy naszego kochanego profesora Michałowicza. Pozostał z nim, dla opieki, jeden z kolegów obozowych, Jan Nowak.

Pojechaliśmy pociągiem w kierunku granicy polskiej i dojechaliśmy bez przeszkód do Ołomuńca. Tam oznajmiono nam, że do Ostrawy trzeba iść pie-

chotą, bo jeszcze nie naprawiono wszystkich mostków kolejowych po drodze. Kobiety i dzieci podwoziły dwa stare autobusy. Dla nich wydawano też bułki i mleko, dla mężczyzn natomiast kawę i herbatę oraz kanapki. Niestety, ze strony tych ostatnich słyszało się już wtedy wiele pretensji – o mleko, o niepodwożenie mężczyzn itd. Bywało i tak.

Obrotny i mówiący po czesku Konopka porozmawiał z czeskimi kolejarzami i powiedział nam, że oni radzą nam jechać przez Brno i Bratysławę. Tam po drodze jest tylko jedna przerwa, z powodu zniszczenia jakiegoś tunelu, ale to tylko kilka kilometrów. W ten sposób możemy powrócić do kraju szybciej i wygodniej. Wszyscy zgodziliśmy się z radością, bo po prostu nie chciało się nam iść na piechotę 30 kilometrów do Ostrawy. Wpadliśmy jednak paskudnie. Musieliśmy zrobić okrężną pieszą wędrówkę do granic polskich przez całą prawie Słowację, przez 10 dni. Pojechalśmy pociągiem w kierunku Brna. Jechaliśmy około pół godziny, a potem stanęliśmy przed jakąś górą i kolejarze objaśnili nam, że trzeba tylko przejść około 7 kilometrów, i po drugiej stronie góry będzie na nas czekał następny pociąg. Tam już dawno po walce, tam już wszystkie vlaki chodzą. Niestety, szliśmy pieszo wiele kilometrów szosą biegnącą wzdłuż torów i obserwowaliśmy na trasie roboty, przede wszystkim mostowe. Cofający się Niemcy poniszczyli wszystkie mosty i mostki kolejowe. Doszliśmy do Brna i znów dalej poszliśmy na piechotę.

Nocowaliśmy po szkołach, które wszystkie służyły za hotele dla tysięcy wracających do kraju rodaków. Te punkty noclegowe były jednak czynne tylko od 8 wieczorem do rana. Na podstawie zaświadczeń z Czerwonego Krzyża mogliśmy trzy razy dziennie jadać bezpłatnie w wyznaczonych restauracjach i stołówkach. Nastroje gospodarzy nie były jednak już tak radosne jak w Czechach. Oczywiście, wszędzie obsługiwano nas grzecznie, ale nie raz wypomniano nam 1938 rok i udział w rozbiórze Czechosłowacji. Tu niedaleko przecieź, na Spiszu i Orawie były też nikomu niepotrzebne drobne „poprawki graniczne”, a nieco dalej Zaolzie. Dużo wody w tej Olzie przepłynie zanim to ulegnie zapomnieniu. Czasem słyszy się poza plecami, że Polak co w dzień widzi, to w nocy ukradnie. Niewesołe takie wędrowanie...

Na małej stacyjce, właściwie przystanku kolejowym w polu, gdzieś między Brnem i Breclawiem, stał na torach pociąg osobowo-towarowy z przypiętą i dymiącą lokomotywą. Wokoło mnóstwo ludzi. Polacy, Węgrzy i Rosjanie. Wsiadamy i zajmujemy ostatnie miejsca. Nikt nic nie wie, ale jak dymi, to chyba pojedzie. Ruszyliśmy w drogę dopiero w nocy. Jechaliśmy powoli z gwizdaniem i zwalnianiem przed każdym mostkiem i na każdym zakręcie.

O wschodzie słońca dojechalśmy do rzeki Morawy. Przed nami główna przyczyna dotychczasowej przerwy kolejowej. Wysoki prowizoryczny most kolejowy, zbudowany na prowizorycznych wysokich filarach drewnianych z układanych na krzyż warstwami podkładów kolejowych. Przed wjazdem na most pociąg staje i konduktorzy uprzedzają, że jeżeli ktoś się boi, może wy-



siąść i przejść most na piechotę. Jest spora grupka takich, i nie ma się co dziwić. Most wygląda bardzo, zbyt bardzo koronkowo.

Trochę bałem się, ale nie wysiadłem, bo miałem doskonale miejsce przy oknie, po prawej stronie wagonu. Pogoda jest wspaniała, powietrze bardzo czyste i widoczność niezwykle daleka. Podobno taka zdarza się niezwykle rzadko. Przed nami w kierunku południowo-zachodnim doskonale widoczny Wiedeń. Przepiękny widok w promieniach wschodzącego słońca. Liczne kolorowe dachy, złoto-czerwone wieże licznych kościołów i pałaców. Ktoś głośno objaśnia i nazywa poszczególne budowle, ale temu, który ogląda to po raz pierwszy, nic to nie mówi. Podobno odległość w linii prostej nie przekracza 30 kilometrów. Przez most jedziemy bardzo powoli i czujemy jak ta cała budowla kołysze się razem z pociągiem. Za mostem zabieramy pieszych i powoli nabieramy szybkości. Jedziemy cały czas wzdłuż rzeki Morawy, a nieco dalej widoczna wstęga, rzeczywiście modrego o tej porze dnia, Dunaju.

Dopiero około południa dojeżdżamy do Bratysławy. Na stacji dowiadujemy się, że niestety w kierunku granicy polskiej nie ma jeszcze żadnej komunikacji, ani kolejowej, ani autobusowej. Pozostaje nadal tylko marsz pieszy. W Czerwonym Krzyżu dostajemy przydział na kwatery i wyżywienie w Domu Medyków. Przydzielają nam także przewodniczkę w osobie młodej studentki medycyny. Korzystamy z jej usług zaraz po obiedzie i zwiedzamy miasto. Niestety, byłem wtedy tak zmęczony, że prawie nic z tego nie zapamiętałem.

Rano, skoro świt wyruszyliśmy na trasę w kierunku polskiej granicy. Droga przeważnie wiodła wzdłuż torów kolejowych. Wszędzie na trasie obserwowaliśmy roboty na torach. Bardzo dużo zniszczeń. Tory kolejowe poprzerywane, mosty poniszczone, wszędzie od dawna stojące puste pociągi, w całych składach.

Drogi zatłoczone Polakami, wracającymi przeważnie z robót przymusowych z Austrii. Jest także trochę więźniów, jak i my. Niektórzy jadą furmankami jednokonnymi, obładowanymi towarami w belach i pakach. Nie pytani tłumaczą się, że otrzymali to jako zapłatę od swych bauerów za niewolniczą pracę. Jakoś nie możemy, czy nie chcemy, wierzyć. Tworzą się dwie grupy Polaków, wracających piechotą i na wozach. I pierwsze rodzinne nieporozumienia słowne. My nocujemy w łóżkach po szkołach, oni na wozach, pilnując koni i dobytku.

Co kilka kilometrów mijamy jakiś prowizoryczny mostek, co kilkanaście jakaś osada czy miasteczko. Wszędzie powitalne, oflagowane bramy triumfalne oraz często kontrola dokumentów. Dotychczas było wszystko dobrze. Ale nie mieliśmy szczęścia do kobiet w mundurze. Pierwszą taką, zresztą bardzo ładną, spotkaliśmy w bramie powitalnej w Trencinie nad Wagiem. My się do niej uśmiechamy, bo ładna i zgrabna, i pierwsza taka „wojownica” przez nas napotkana, a ona wzięła to chyba za kpiny, bo nas ostro zaczęła kontrolować. My dajemy nasze karty zwolnienia i karty podrózne, a ona, że to nieważne, bo

bez fotografii. Takie może mieć każdy Germaniec. Pytamy, po co on by tu jeszcze szedł. Nie słucha nas i krzyczy w kierunku otwartego okna: Leutnant! Leutnant! Z okna wygląda jakaś czarna, gołaca się głowa, i pyta: Czto takoj? A ona melduje: Słuszaj tut takije ludi jest. U nich niet nikakich dokumentow, tolko takije sprawki jest, czto diełać? I słyszymy tylko spokojną odpowiedź: Niczewo, niczewo, dawaj z nimi na płoszadź!

I tak w towarzystwie żołnierza pomaszzerowaliśmy na plac, coś w rodzaju rynku, otoczonego żywopłotem. Połowa placu dodatkowo odrutowana drutem kolczastym i wewnątrz pełno ludzi. Wokoło strażę. Informują nas, że czekają na kontrolę dokumentów. Podobno wyszukują Rosjan wracających do kraju i przesłuchują na gorąco, czy nie był w oddziałach ukraińskich u własowców itd. To idzie dość powoli. I rzeczywiście zostaliśmy w grupie, której przyszło nocować pod krzaczkiem. Chwała Bogu, że jest już 17 maja i maj jest ciepły. Ale na twardej ziemi dość trudno spać. Jesteśmy zresztą ostatnio dość wyspani, więc spacerujemy całą noc.

Rano nie ma się gdzie umyć, jedzenia też nie dają. Zaczynamy się buntować. Ale idzie właśnie wzdłuż drutów jakiś kapitan. Nasz pułkownik Konopka zagadał do niego czystym literackim rosyjskim językiem. Studiował kiedyś w Dorpacie. Wyłuszczył mu naszą sprawę. Tamten zapytał ilu nas jest i przeprosił, że zaszło jakieś nieporozumienie, i kazał strażnikowi natychmiast całą naszą grupę przyprowadzić do siebie. Tam, w biurze, na odwrotnej stronie naszych kart zwolnieniowych wypisał każdemu czerwonym atramentem adnotację w języku rosyjskim, i życzył pomyślnej drogi.

Poszliśmy zaraz do gospody na spóźnione śniadanie. Tam zaznaczyła się różnica zdań. Konopka jeszcze w Bratysławie zdobył od kogoś wojskową mapę Słowacji, aż do polskiej granicy. Na podstawie tej mapki stwierdził, że istnieje boczna droga do granicy, biegnąca przez lasy i proponuje tamtędy iść, tam mało wsi i nie będzie kontroli. Odpowiedziałem mu, że wierzę w mój czerwony dopiero co otrzymany zapis i nie pójdę w lasy. Takie zaświadczenia jak my mamy, może rzeczywiście mieć każdy esesman, a w lesie trudno się tłumaczyć. Ja wolę iść prostą drogą. Ale poparł mnie tylko kolega Kotula. Inni stanęli po stronie Konopki.

Tak więc pożegnaliśmy się. Trochę nam teraz było pusto iść dalej tylko we dwóch, ale droga biegła nam dość żwawo. Po drodze w Poważskiej Bystricy spotkaliśmy kilku tamtejszych Polaków, którzy zaprosili nas na nocleg. Spędziliśmy wśród nich bardzo przyjemny wieczór. Było już 20 maja. Na drugi dzień poszliśmy przez Zilinę i Czadcę do Polski. Niestety, przyszedliśmy już za późno. Na granicy „urzędowano” tylko do 17 godziny. Spóźniliśmy się kilka minut. Obozowaliśmy w szczerym polu, wśród wielu wracających rodaków pieszych i furmanów. Ci ostatni obliczali i mierzyli przez całą noc swoje skarby, bo jeżeli ktoś nie wie, ile czego ma, to podobno zabierają wszystko. Takie materiały po wojnie, to rzecz chodliwa, mogą się

przydać. Ktoś nawet proponuje nam udział za pomoc w przekraczaniu granicy. Udaliśmy, że nie słyszemy.

Granice „otworzono” dopiero po godzinie 8 rano. Podziękowaliśmy czeskim strażnikom za wszystko dobre, co spotkało nas na ich ziemi, i weszliśmy z radością do Polski. Na granicy tylko 2 polskich strażników. Zasadniczą rolę spełniają strażnicy radzieccy. Padają te same stwierdzenia, co w Trencinie. Takie dokumenty może mieć każdy Niemiec. Tak, ale ja wracam do swoich, to mnie rozpoznają. Szukają tatuażu na rękach, jako dowód, że byliśmy w obozach koncentracyjnych. Zostali źle poinformowani. Tatuowali tylko w Oświęcimiu i to dopiero od 1943 r. Wędrujemy do ogródka, gdzie służbę wartowniczą pełnią właśnie dwaj Polacy w rogatywkach. Pytamy, co to będzie. Mówią, że wieczorem zatrzymanych odstawia się do sprawdzenia w więzieniu w Żywcu. Czegoś podobnego nie przypuszczaliśmy. Po prostu zdumiało nas to i przeraziło.

Kręciliśmy się z Władkiem koło płotu; zresztą nie za bardzo nas pilnowano, aż po kolei przeskoczyliśmy przez płot i biegiem po skarpie zbiegliśmy do drogi do Zwardonia, pogryzając ostatni kawałek czeskiego chleba. Po drodze w jakiejś wiosce popiliśmy zimnej wody ze studni i szliśmy w kierunku Żywca. Po drodze spotkaliśmy drobną dziewczynkę, płaczącą przy drodze. Stajemy i pytamy, co się stało. Ma 16 lat. Po warszawskim powstaniu wywieziono ją do jakiegoś obozu w Austrii. W drodze przez Czechy spała po szkołach i jadła za darmo. Dostała nawet od jakiegoś Czecha zegarek, rzekomo ponemiecki. Wczoraj tym zegarkiem zapłaciła za jedzenie i nocleg w stodole. Jest zmęczona i głodna, a nie umie prosić. Pogrzebaliśmy po kieszeniach i ostatnie kruszynki chleba daliśmy jej i poszliśmy razem aż do Żywca. W Żywcu zaszedliśmy do Czerwonego Krzyża. Jakaś pani z miejsca zabrała naszą Halinkę do siebie i obiecała zaopiekować się nią. Nam także proponowano pomoc, ale podziękowaliśmy. Zjedliśmy po kawałku chleba i popili kawą, i poszliśmy dalej aż do Bielska, bo pociąg jeszcze na tym odcinku nie kursował.

Do Bielska doszliśmy dopiero późnym wieczorem. Poszliśmy zaraz na stację kolejową; pociąg do Katowic miał być w nocy. W kasie biletowej wystawiono nam, na podstawie naszych dokumentów, bezpłatne bilety kolejowe do domu. Skorzystaliśmy z dworcowego punktu żywieniowego Czerwonego Krzyża i w nocy, około godziny 2 wyjechaliśmy w dalszą drogę.

Rano w Katowicach drogi nasze, niestety, rozchodziły się. Słpakaliśmy się jak bobry przy pożegnaniu, obiecując potem się odwiedzać. Niestety, nie było to takie łatwe. Osiedliliśmy się daleko od siebie. Pisywaliśmy do siebie listy co parę miesięcy. Spotkaliśmy się tylko raz. Odwiedziłem go w Lubawie w 1971 roku. Był już po siedemdziesiątce. Zmarł w 1974 roku. Niestety, telegram pogrzebowy wysłany na mylny adres przez sąsiadkę nie osiągnął mnie. Dopiero w odpowiedzi na życzenia imiennowe otrzymałem powiadomienie od jego

sąsiadki. Później miałem wiele takich spóźnionych korespondencji. W 1965 z doktorem Żegleniem, w 1971 z Dolińskim z Rawicza, w 1977 z kolegą Majewskim z Wrocławia.

Z Katowic pojechałem aż do Rzeszowa, gdyż na skutek wojennych zniszczeń nie było połączenia kolejowego z Tarnowa przez Stróże. Z Rzeszowa do Zagórzan jechałem na stopniach wagonu towarowego, wiozącego ładunek min. Takie wtedy były w Polsce warunki podróżowania.

W domu nie wierzono, że to ja jestem za drzwiami, kiedy przybyłem w nocy. Od prawie roku nie mieli ode mnie żadnego listu, żadnej wiadomości. Matczyne serce przeczuwało jednak, że żyję. Brat wyjeżdżał na różne drogi i stacje kolejowe, wypytyując wracających obozowiczów o mnie. Nie miał jednak szczęścia. Wiele radości było z tego spotkania po 5 latach.

Po kilku tygodniach wypoczynku pojechałem do Krakowa, zdać ostatnie egzaminy i odebrać dyplom. Na ulicy spotkałem docenta Konopkę. Jego grupa także miała pecha na granicy i dopiero po sprawdzeniu dokumentów w więzieniu w Żywcu pojechali do domu. Chodził jeszcze w pasiakach. Sypiał u kolegi obozowego, a jadał raz dziennie w darmowej kuchni prowadzonej przez siostry Elżbietanki. Cieszył się jednak bardzo, bo przed paroma dniami w Wieliczce odnalazł żonę. Była właśnie po operacji woreczka żółciowego. Spotkałem też doktora Popka, doktora Feikla, doktora Tadeusza Wójcika, a nawet doktora Frączka z Kolbuszowej. On został w lutym 1943 r. zwolniony z Gross-Rosen do domu.

Właściwie przez wiele tych lat, gdzie człowiek się obrócił spotykał kolegów obozowych. Głogowskiego, Sztabę, Bernadzikowskiego, Fiszera, Olszynę, Dzeduszyckiego, Dziadusia, Majewskiego, Drabka, Dzierwę, Kisielewiczów, Sikorę i wielu wielu innych. Dziś wielu z nich już nie ma. Zrozumiałem z czasem, jak bardzo zżyliśmy się przez tamte wspólne złe lata. Zdarzało się, że kolega do kolegi jechał przez pół Polski, aby tylko kilkanaście minut porozmawiać. Wielu mnie odwiedzało, bezinteresownie. Potrzebowaliśmy tej bezinteresownej przyjaźni bardzo, tym bardziej, że życie wówczas nie głaaskało i nie było łatwe. Ale to nas nie przerażało, powiedziałbym mobilizowało oraz zachęcało do pracy, której wówczas tak bardzo było potrzeba. Jedno tylko przez te lata mieliśmy pragnienie – bo świat zbyt obojętnie przeszedł wobec hitlerowskiego ludobójstwa – aby życie milionów pomordowanych nie poszło na marne, aby zjawisko zbrodni prawie bezkarnie dokonanej nie powtórzyło się już nigdy!